

„Bez tytułu”

Prosta kompozycja w monochromatycznych, szarych barwach. Zmięty żagiel chmur.

Pokruszone narożniki. Siła rozkładu. Obraz bez tytułu.

Sanok był tym punktem na mapie Bieszczad, którego nie uwzględniliśmy w planie naszej wycieczki. Podziwialiśmy za to piękne górskie szczyty, spalone słońcem zbocza i brunatne krzaki jagód nakrapiane purpurowymi owocami. Bywały dni, kiedy płynny kontur szczytów znikał pod warstwą gęstej mgły, a świat wokół przybierał żałobne barwy. Obserwowałam wtedy, przez drewniane okiennice, chmury zawieszona na szarym niebie, które przysłaniały promienie słońca uwięzione w tej podniebnej konstrukcji. Było w nich coś niepokojącego, jakby miały zwiastować upadek nieba. Rok później ujrzałam je ponownie, w jednej z krakowskich galerii sztuki. Wisiały na czarnej ścianie, podświetlone surowym światłem żarówki. Wydawały się zadziwiająco prawdziwe, tak jak zapach deszczu i obecność przyćmionego słońca. Ale był tylko prostokąt olejnej farby zamknięty ramą. Jeden z wielu obrazów bez tytułu, zawieszonych w przestrzeni wystawy Zdzisława Beksińskiego.

Obserwacja nieba ma w sobie coś z aktu tworzenia. Podążanie wzrokiem za kłębamii szarobiałej masy na tle błękitu daje wolność, a obrazy powstające w oczach obserwatora są jedyne w swoim rodzaju. Z tą myślą w głowie spoglądam na strukturę płótna. Zauważam dukt pędzla Mistrza, mogę prześledzić jego drogę, odtworzyć w wyobraźni ruch ręki. Ale faktura jest delikatna, a obraz starannie wykończony. Tak, jakby artysta spojrział na zegarek, rozpoczął pracę i zakończył ją o ustalonej godzinie z zamierzonym efektem. To nie rozmach Anselma Kiefera, ekspresja Jacksona Pollocka. Co zatem jest takiego w tych zamglonych budowlach, sennyh wizjach, postaciach uwięzionych w czasie?

Dziesiątki obrazów. Ciemne, punktowo oświetlone wnętrza, którego sufit tonął w mroku, oraz niezwykła muzyka wprowadziły mnie w metafizyczną przestrzeń. Pierwsze wyłoniły się te ziemiste, szkicowe obrazy w kolorze sepilii. Bryłowate twory zadziwiły mnie swoją tajemniczą prostotą i surowością. Mój wzrok powędrował dalej i zatrzymał się na bogactwie kolorów wylewających się z ram. Samotne drzewo, a za nim przepaść. Wrażenie złego snu, z którego za wszelką cenę pragniemy się obudzić. Lecz apokaliptyczne wizje nie znikwały. Przerażliwa pustka i poczucie wszechogarniającej samotności przygniotły mnie. Groteskowe postaci na wrzecionowatych nogach, starcy i pustkowia przysnute rdzawą mgłą. Kolejne płótna, kolejne stopnie. Setki par pustych oczu zerkały na mnie ze ścian, a ja czułam, jak maleję, kurczę się, pozbywam balastu codziennych błahostek.

Wtedy je ujrzałam. Chmury, które Beksiniński uwiecznił na obrazie, zatrzymując dla mnie czas. Do oczu napłynęły mi łzy. To było moje katharsis.

Nie sposób jednym słowem opisać tej twórczości. Niewątpliwie była, i jest przełomem w polskiej sztuce współczesnej. Nie to mnie jednak interesuje. Dla Mnie, szarego człowieka, i dla Mnie, początkującej artystki, najcenniejszą rzeczą, którą po sobie pozostawił, jest wolność. To właśnie ona pozwala mi zejść na samo dno mojej wrażliwości i spojrzeć sobie w twarz. Każdy obraz Mistrza jest zwierciadłem.